



Hospicjum to kolejna podróż życia. Często bywa, że ostatnia, czasem chory udaje się w nią kilka razy, ale pewne jest jedno: nikt nie wie, ile ta podróż potrwa i kiedy się skończy.

Zapach smażonej kaszanki z cebulą. Na korytarzu swobodne rozmowy licealistów w żółtych koszulkach wolontariuszy. Za drzwiami stołówki uśmiechnięta kucharka sprząta po kolacji. Jakiś pan uprzejmie zachęca, żeby usiąść na wygodnej kanapie. Każdy miły, a przecież nie wiedzą, kim jest gość, który przyszedł w późne, październikowe popołudnie do hospicjum.

– Może zanim opowiem o tym miejscu, pokażę pani, jak wygląda hospicjum – zachęca ksiądz Eugeniusz Leśniak, dyrektor Hospicjum św. Jana Ewangelisty w Szczecinie. – Tak zaczyna się często wizyta rodziny chorego, który ma do nas trafić. To po to, żeby przekonać, że tu jest normalnie, choć zawsze podkreślam, że to jest inny świat, tu jest życie przez duże „Ż”.

Nikt nie przewidzi końca

Kiedy diagnoza lekarza brzmi jak wyrok, trzeba się liczyć z tym, że śmierć jest nieunikniona. Okazuje się jednak, że tak jak nieunikniona, tak i nieprzewidywalna, bo bywa i tak, że od wyroku do śmierci mija nawet kilka lat.

– Mieliliśmy tu pacjenta, który był z nami przez cztery i pół roku... chodził, żył... Ale są też tacy, którzy pozostają z nami tylko pół godziny czy godzinę. Ta rozpiętość, ta przestrzeń czasu życia jest ogromna – podkreśla ksiądz Eugeniusz. – To, że lekarz nie wyleczy, nie znaczy, że może i ma prawo powiedzieć, kiedy kto umrze. Zdarza się też tak, że ludzie wychodzą stąd na kilka dni, czasem tygodni... i wracają.

Hospicjum stacjonarne to ostateczność. W wielu przypadkach wystarcza hospicjum domowe.

– Takie też prowadzimy, ale kiedy rodzina sobie nie radzi, bo chory wymaga całodobowej opieki, do tego fachowej, trzeba go przywieźć tutaj, do nas – mówi dyrektor hospicjum. – Rodziny przeżywają lęk przed tym miejscem, ale potem widzą, że jest to najlepsze, co mogą dać bliskiemu. To nie jest pozbywanie się chorego z domu. Z tymi słowami walczę... To jest sytuacja konieczna, a hospicjum, dla chorego w pewnej określonej sytuacji, jest najbardziej odpowiednim miejscem.



Ksiądz Eugeniusz Leśniak,
dyrektor Hospicjum św. Jana
Ewangelisty w Szczecinie.

fot. Agnieszka Tarczykowska

Zabieranie cierpienia

Nasze społeczeństwo jest przekonane, że hospicja są potrzebne, ale i tak się ich boi. Bo hospicja kojarzą się z umieraniem, cierpieniem, smutkiem i samotnością.

– Nic bardziej mylnego – uważa ksiądz Eugeniusz Leśniak. – To jest miejsce ulgi w cierpieniu, miejsce zabierania bólu, bardzo mocno to podkreślam, bo jest to rzecz priorytetowa i dziś już wykonalna.

Leczenie bólu to młoda dziedzina wiedzy. Jeszcze kilka lat temu na uczelniach nie wykładano medycyny paliatywnej i hospicyjnej.

– Prekursorka tej dziedziny medycyny na naszej uczelni przyprawiała tu lekarzy pierwszego kontaktu w ramach kursów – mówi ksiądz Eugeniusz. – To fakt, kiedyś, kiedy nie potrafiliśmy leczyć bólu, ludzie bardzo cierpieli, a hospicjum było strasznym miejscem, ale dziś możemy sobie powiedzieć, że to przeszłość. Trzy, góra cztery dni i ból musi minąć. Jeśli się przedłuża, natychmiast zwracam lekarzowi uwagę, że leczenie jest źle ustawione. Nie mówię mu, jak ma leczyć, ja chcę skuteczności, bo obecnie jest to możliwe i u nas wykonalne, nawet w sytuacjach nowotworów o ogromnym natężeniu bólu. Najbardziej boli przerzut do kości, ale ból trzustki też jest straszny. Najmniej boli, ale najtrudniejsza śmierć, to nowotwór płuc. Płuca w ogóle nie boją, ale przy konaniu człowiek się dusi, jakby miał głowę pod wodą i tu jesteśmy najbardziej bezsilni. Chciałbym, żeby zmądrzały odpowiednie osoby i żeby kompetentni lekarze, również z dziedziny medycyny paliatywnej, wypowiedzieli się na temat marihuany.

Negatywny obraz hospicjów tworzony był w świadomości ludzi przez lata

– Rodziny chorych wciąż są przestraszone, kiedy trafiają tu po raz pierwszy, ale to się zmienia, zwłaszcza kiedy proponują bliskim, by się przeszli po korytarzach i salach chorych – przekonuje dyrektor hospicjum. – Strach szybko ustępuje miejsca pozytywnemu zaskoczeniu. Bardzo zabiegamy o to, żeby zmieniać

świadomość ludzi. Pamiętam pewną kobietę, która odwiedzała tu swojego męża. W trakcie jego choroby dowiedziała się, że też ma raka. Gdy mąż odchodził, zapowiedziała, że jak przyjdzie jej czas, wróci tu. Któregoś dnia zjawiła się z walizką, ze skierowaniem, z dokumentacją i zapytała: „Które łóżko jest moje?”. Wiedziała, że z nami będzie bezpieczna, że nie będzie bolało, że spokojnie odejdzie. I tak się stało. Wiele osób towarzyszących chorym, którzy odchodzą mówi nam, że jeśli spotka ich taka choroba, to chcą tutaj trafić.

Najtrudniej uleczyć duszę

Obecnie medycyna osiągnęła już taki postęp, że ból fizyczny nie jest najgorszy do opanowania. Znacznie dłużej i bardziej skomplikowanie leczy się ludzką psychikę.

– Mamy trzy rodzaje bólu: somatyczny, psychiczny i duchowy – wylicza ksiądz Eugeniusz. – Najpierw trzeba zabrać ból somatyczny. Nie ma sensu zajmować się innym, dopóki ten fizyczny nie ustanie. Oczywiście, trzeba pamiętać, że nie ma jednej tabletki, która w cudowny sposób usuwa ból. Każdy przypadek jest inny, do każdego chorego trzeba dobrać odpowiedni zestaw leków, dlatego trwa to nie raz do czterech dni, ale ból można zabrać całkowicie. Dzieje się tak za sprawą ciągłego dialogu doświadczonego lekarza z pacjentem. U nas człowiek nie ma prawa umrzeć z bólem, chyba, że trafia do nas za późno, w skrajnym stanie, ale nie pamiętam, żeby jakiś pacjent odszedł stąd cierpiąc fizycznie. Raz mieliśmy przypadek, że walczyliśmy dwa tygodnie, ale człowiek umarł bez cierpienia i to była jedyna taka sytuacja. Przyszła mi na myśl autentyczna historia o bólu... Zbysio był trochę trunkowy i kiedyś mówi do mnie: „Ksiądz! Jak już taki ból przyjdzie na końcu, to kupi mi ksiądz pół litra, ja wtedy duszkciem i umrę.” Zgodziłem się, ale tylko pod warunkiem, gdy będzie bolało. Przytaknął. W okolicach śniadania gadają z kumplem i ten się zastanawia, czemu Zbysiu taki małowówny. A on już nie żył. I to jest piękne w tej całej tragedii.

Bólem psychiki na bieżąco zajmują się tu psycholodzy, a pracy mają dużo, bo najtrudniej jest ludziom poustawić sobie życie, kiedy wszystko po diagnozie rozsypuje się jak domek z kart.

– Tu nikt nikogo nie pyta o wiarę, wyznanie, ale jak ktoś ma potrzebę posługi duchownego, to ma do tego prawo i to jest ten trzeci wymiar cierpienia, cierpienie duchowe. Najprościej wyleczyć ból fizyczny, trzy dni i po sprawie – zapewnia ksiądz Eugeniusz. – Pozostałe cierpienia są czasem powiązane ze sobą. Często ludzie cierpią, bo są niepokodzeni z innymi, a gdy ma się świadomość kresu życia, jest to wielki problem.

Przychodzą, żeby się pobrać

Do hospicjum ludzie trafiają nie tylko, żeby umierać, także po to, żeby dokonać swoistej rewolucji we własnym życiu. Zrealizować coś, na co czekali wiele lat, bo nie można myśleć, że jeśli jest się chorym terminalnie, to człowieka czeka już tylko śmierć. Dlatego w hospicjum ludzie biorą śluby, chrzczą dzieci, szukają rozgrzeszenia, pojednania z Bogiem i bliskimi, tu obchodzą rocznice ślubu, imieniny, urodziny, a kiedy historia zatoczy koło, niektórzy wracają jak do ulubionego

hotelu, w którym kiedyś spędzili cenne chwile. Bo tu wszystko dzieje się szybko. Nikt już nie ma czasu na rozmyślanie, czy coś mu się kalkuluje. Tu każda decyzja może być tą ostatnią, więc trzeba je podejmować, póki zegar odmierza czas.

– Przyszedł do nas swego czasu człowiek – wspomina ksiądz Eugeniusz – Jego żona była w szpitalu. Żyli w związku cywilnym, a on bardzo chciał ślubu kościelnego. Tylko jak ją tutaj dowieźć? Mężczyzna powoli gasł. Zaangażowałem więc ich syna. Powiedziałem, że takie jest życzenie taty. Kobieta przyjechała na kilka godzin, aby pożegnać się z mężem. Wjechała do hospicjum na wózku. Powiedział jej o ślubie. W takich sytuacjach to się robi piorunem. Ja mam wszystkie zwolnienia z wszelkich procedur. Na świadka wzięli pielęgniarkę. Był ślub, udzieliłem komunii świętej, ona wyszła na chwilę. Gdy wróciła, musiałem powiedzieć, że jej świeżo poślubiony mąż już nie żyje. Było po wszystkich sakramentach, zdążyliśmy w ostatniej chwili. Wiedziałem, że człowiek odchodzi. Ale miał jeszcze dość siły, by wypowiedzieć słowa przysięgi. To chyba jedna z tych rzeczy, która zrobiła na mnie duże wrażenie i do dziś mam ją w pamięci. Ale tu się dzieją takie historie, jakie nie rozgrywają się nigdzie indziej. Nie ma co daleko szukać. Trzy tygodnie temu mieliśmy kolejny ślub. Młoda kobieta, która jest u nas już od jakiegoś czasu, zdecydowała z mężem, że chcą mieć ślub kościelny. Na ślubie była ich kilkuletnia córeczka. To też była bardzo wzruszająca historia. Na naszej stronie internetowej jest film z tej ceremonii. Chwyta za serce.

Dom małych cudów

W obliczu zbliżającego się kresu życia, ludzie inaczej patrzą na wiele spraw, zwłaszcza tych o wymiarze duchowym. Podczas pracy w hospicjum ksiądz Eugeniusz napatrzył się na sytuacje, które jemu samemu trudno wytłumaczyć po ludzku.

– Jeżeli mówimy o cudzie, jak to kościół rozumie, to takiego nie doświadczyłem, ale dla mnie, jako księdza, swego rodzaju cudem jest nawracanie się ludzi w tym miejscu – przyznaje ksiądz. – To jest cud ważniejszy od uleczenia, w wymiarze duchowym, kiedy ludzie po dziesiątkach lat, gdy rozstali się z Bogiem, przychodzą pojednać się z nim i umierają. I to są tak szokujące rzeczy, że się w głowie nie mieści. Przyszedł kiedyś człowiek, wesoły, chodzący, samodzielny, myślimy, fajny facet, zostanie na pewno dłużej, będzie z kim pogadać, bo nam też tego potrzeba. Od razu zagadnął, że od lat nie może przystępować do komunii. I tłumaczy, że nie ma takiego grzechu, którego by nie popełnił, poza tym, że nie zabił. Wyspowiadałem go i po trzech dniach zmarł...choć nie było powodu, żeby tak nagle i tak szybko odszedł, bo był zupełnie sprawny.

Znajdują drugie połówki

Miejsce, które tak mocno nacechowane jest złymi skojarzeniami, okazuje się czasem miejscem, z którym niektórzy mają najpiękniejsze wspomnienia. Tu miłość wyznają sobie nie tylko ludzie, którzy mają świadomość kresu życia, ale młodzi, zdrowi i pełni sił zakochani.

– Kilka lat temu, krótko przed tym, jak tu trafiłem, był ślub wolontariuszy. Tutaj się poznali, tu pobrali, a ja byłem na chrzcinach ich dziecka, w naszej hospi-

cyjnej kaplicy – opowiada ksiądz Eugeniusz. – Ale była też inna niesamowita historia. Leżała u nas kobieta. Była już mocno wyniszczona chorobą, a bardzo chciała być na ślubie córki. Przekonałem młodych, by zamiast hucznego wesela, którego mama nie doczeka, zorganizowali ślub w naszej kaplicy. I tak się stało. Mama leżała na łóżku, cała w balonikach... Po ślubie młodzi poszli się bawić do pobliskiej restauracji, nie było orkiestry, bo wesele naprędce zorganizowane, ale było. Mama żyła jeszcze kilka tygodni. Spełniło się jej marzenie, a oni mieli normalny ślub. Tu się dzieją przeróżne rzeczy. A imieniny, urodziny, to norma. Chyba najbardziej wzruszające i mocne są rocznice ślubów, bo wiadomo, że czasem ostatnie.

Domek nadziei

Rodzina po odejściu chorego często potrzebuje wsparcia i takie wsparcie, pomoc w pogodzeniu się ze stratą, może znaleźć wśród ludzi pracujących w hospicjum.

– To jest tak zwane towarzyszenie osieroconym – wyjaśnia ksiądz Eugeniusz. – Nie tylko dziecko jest osierocone. Każdy, kto kogoś bliskiego traci, cierpi. Kiedyś nazywano to towarzyszeniem w żałobie, choć to nieadekwatne określenie. Jest więc możliwość spotkania się z księdzem i psychologiem. Po długich obserwacjach odkryliśmy, że ludzie nie potrafią żyć, kiedy są nieprzygotowani do śmierci. Tym też się zajmujemy.

Miejscem, które niedawno stworzono głównie z myślą o pomocy ludziom osieroconym, dzieciom, które straciły rodzica, walczącym z rakiem, jest domek nadziei tuż obok hospicjum.

– Kiedy dostajemy pod opiekę chorego, który ma małe dziecko czy dzieci, to kierujemy tam psychologa i on zajmuje się rodziną – informuje ksiądz Leśniak. – Przeprowadza całą rodzinę chorego przez ten trudny czas. Dzieci trafiają tu na terapię. Wszystko w zależności od potrzeb. Czasem są to nawet potrzeby materialne. Był taki przypadek, że w domu rodziny, którą się opiekowaliśmy, nie było pieniędzy na pogrzeb, a dziewczynce, która przeżyła śmierć ojca, trzeba było wymalować pokój, kupić biurko. Takie akurat były potrzeby tej rodziny. Więc nie tylko psychologiczne, ale w niektórych przypadkach uzasadnione też jest materialne wsparcie.

Każdego boli po ludzku

Kiedy ma się pracę, w której człowiek niemal każdego dnia spotyka się oko w oko ze śmiercią, kiedy codziennie się widzi, jak drugi człowiek z godziny na godzinę gaśnie, trudno jest radzić sobie z normalnym funkcjonowaniem.

– Nie da się oswoić ze śmiercią i nie ma ludzi ze stali – mówi ksiądz Eugeniusz. – Każde odejście uderza w naszą psychikę, ludzi tu pracujących. Szanując mój zespół, bo jest przewspaniały i tu muszę powiedzieć, że mam szczęście do ludzi, staram się, żeby oni mogli czasem odreagować. Sporadycznie jakaś zabawa, grzybobranie, wycieczka. To bardzo potrzebne, ludzie potrafią wtedy wyrzucać z siebie ten ból. Pracuję nad tym, ale jeszcze mi się nie udało, żeby mieć dla ka-



Przy łóżku chorego czuwa pielęgniarka, psycholog, rehabilitant, są wolontariusze.

fol. Agnieszka Tarczykowska

dry psychologa z zewnątrz, bo ten z naszego zespołu nie może być. Muszę bardzo uważać, żeby ludzie się nie wypalili, bo to, co tu się dzieje, jest trudne i odciska piętno na psychice. Pamiętam takie szokujące przeżycie. Oddziałowa przychodzi rano, patrzy, a na korytarzu stoi jej koleżanka z liceum medycznego, która trafiła tu jako pacjentka. Obie zamurowało. Zaczęły rozmawiać, ale ponieważ była to pora śniadania, oddziałowa mówi do tej koleżanki, żeby zjadła, a potem ją odwiedzi, to sobie pogadają. Kobieta poszła do sali, usiadła na łóżku i umarła. A była jeszcze w pełni sił.

Ksiądz Eugeniusz ze swoją kadrą, podczas blisko ośmioletniej pracy w hospicjum, pomógł przejść na tamten świat kilku tysiącom ludzi.

– Każdy człowiek jest inny, każdy inaczej przeżywa swoją sytuację – przyznaje – Czasem pada pytanie: Czemu mnie to spotyka? Czasem ludzie zamykają się w sobie, trzeba wtedy dużo czasu. Słuchanie pomaga w budowaniu zaufania i poznaniu rozterek dotyczących opuszczenia, bezsensu, pustki, niesprawiedliwości losu, poczucia winy, niepokoju.

Tu nie ma podziału na profesję, stanowisko, wykształcenie, wiek czy wyznanie. Każdy jest równy wobec śmierci, każdy ma takie samo łóżko i podobne cierpienie.

Śmierć jest częścią życia

Wyrzucanie z normalnego życia tematu śmierci sprawia, że śmierć o wiele tragiczniej przeżywają ci, co zostają, niż ten, kto odchodzi.

– Nie wiem, czy aż tak bardzo boimy się śmierci, natomiast na pewno boimy się cierpienia, ja pierwszy – zdradza ksiądz Eugeniusz. – Kiedy cierpienie fizyczne jest do opanowania, a ból już tak nie dokucza i można normalnie funkcjonować, jeść, oglądać telewizję, iść na spacer, to żyje się jak w sanatorium. Dlatego u nas funkcjonuje pojęcie domu ulgi w cierpieniu. Mnie jednak niepokoi co innego. Otóż ostatnio obserwujemy, że jeśli chodzi o akceptację sytuacji, to większy problem mamy z rodziną, niż z chorym. Z myślą o rodzinie wychodzimy z różnymi

W hospicjum stacjonarnym na Golecinie jednorazowo może przebywać 25 chorych.

fot. Agnieszka Tarczykowska



inicjatywami, a nasz dom jest czynny 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu. Można towarzyszyć choremu zawsze. Nawet jeśli ktoś przyjeżdża z daleka, można tu zamieszkać, obok są pokoje. A gdy ktoś jest już w stanie agonalnym, mamy specjalny pokój na takie odejście w ciszy i tylko w towarzystwie bliskich.

Nadzieja umiera ostatnia

Ludzie silni są potrzebni słabym, a słabi – silnym. Chory i jego rodzina muszą wiedzieć, że cierpienie i ból w obecności drugiego człowieka, to też życie.

Hospicjum to kolejna podróż życia. Często bywa, że ostatnia, czasem chory udaje się w nią kilka razy, ale pewne jest jedno... Nikt nie wie, ile ta podróż potrwa i kiedy się skończy. Dlatego tak ważne jest, żeby mieć wtedy przy sobie kogoś drugiego, kto pomoże w ten inny świat zabrać bagaż dobrych wspomnień. Współczesnego hospicjum na pewno nie można nazwać umieralnią. Zamiast łóżek z przywiązanymi do nich pacjentami, jest troskliwa pielęgniarka, która potrzy- ma za rękę i nigdy, nawet kiedy sama ma gorszy dzień, z jej twarzy nie schodzi uśmiech. Na korytarzu nie słychać krzyków, przeciwnie, tu jest bardzo cicho. Przy łózkach odchodzących do wieczności, skamieniali bliscy, zatopieni we wspomnieniach. To takie miejsce małych i wielkich cudów, gdzie radość łączy się z cierpieniem, szczęście ze smutkiem, uśmiech z bólem, a życie ze śmiercią. Miejsce, gdzie wszystko dzieje się bardzo szybko, żeby zdążyć przed kostuchą, żeby wyrwać jej choćby jeden dzień życia i wycisnąć jak cytrynę...i nie tracić nadziei.

Agnieszka Tarczykowska